



DLACZEGO CHCIELIŚMY ZMIENIAĆ ŚWIAT? HISTORIE TWÓRCÓW SZKÓŁ Z LAT 1989–1995.

Rozmowa z Janem Wróblem, odwiecznym nauczycielem historii na „Bednarskiej” oraz jej wieloletnim dyrektorem.

Dnia 26 maja 2025r. - w ramach projektu dokumentacyjno-naukowego realizowanego przez Stowarzyszenie Dobra Edukacja przy wsparciu Fundacji PZU - rozmawiają Bartłomiej Pielak, wicedyrektor „Bednarskiej” oraz bednarskie licealistki, Hanna Krysińska i Agata Tarnawska.

BP: Janku, bardzo dziękuję Ci za to, że zgodziłeś się z nami porozmawiać o początkach naszej szkoły. Wróćmy do tych pierwszych lat, kiedy nasza szkoła istniała najpierw jako zamysł, a potem stała się rzeczywistością. Mógłbyś nam na początek opowiedzieć, skąd wzięła się „Bednarska”? Co się kryje za powstaniem tej szkoły? Jak długo trwał proces jej tworzenia? Czy wiesz, w których głowach zrodził się ten pomysł? Interesuje nas wszystko, co wydarzyło się przed 1 września 1989 roku.

JW: Ja dość relatywnie później przystąpiłem do tego tworzenia. Wydaje mi się, że korzeni trzeba szukać w działalności Solidarności Nauczycielskiej w czasach legalnej Solidarności, a to było jeszcze w XX wieku. Ta legalna solidarność trwała 16 miesięcy. Istniała wtedy taka sekcja Solidarności Oświaty i Wychowania, która siłą rzeczy zawiesiła swoją działalność po wprowadzeniu stanu wojennego. I tam znajdziemy takie osoby - jak Marzena Okońska, Krystyna Starczewska czy Włodzimierz Paszyński – ci ludzie dość płynnie przeszli potem w stan takiego czy innego konspirowania. I w ramach tego konspirowania wiele uwagi poświęcali sprawom wychowania.

Krystyna współpracowała z dość znanym pismem, drugoobiegowym KOS (biuletyn Komitetu Oporu Społecznego) i doprowadziła do tego, że powstawały tak zwane zeszyty edukacji narodowej oraz takie pismo oświatowo-solidarnościowe podziemne „Tu, teraz”. Ja tutaj nie byłem, wtedy byłem gdzie indziej.

Pod koniec lat 80., kiedy klimat polityczny zaczął się wyraźnie zmieniać, pomysłodawcy szkoły, którzy już w 1981 r. mieli pomysł na szkołę - ale z tego pomysłu nic nie wynikło, doprowadzili do utworzenia seminarium. To się nawet łatwo nazywało - po prostu seminarium. Wydaje mi się, że nie miało to żadnego potem rozszerzenia. To seminarium było zarazem legalne i nielegalne, to znaczy nie było nigdzie zarejestrowane, ale odbywało się pod skrzydłami legalnie działającej instytucji, czyli, o dziwo, Instytutu Orientalistyki. Dziekan tego instytutu, znany nam dobrze dlatego,

że wrócił z pomysłem nadania imienia Maharadży, udostępnił lokal i można było się tam spotykać co dwa tygodnie. Ja tam pojawiłem się trochę przypadkiem - na tym pierwszym spotkaniu, i od tego momentu mogę już mówić jako świadek. To seminarium było dość dziwne - poświęcone było kolejnym pomysłom na to, co powinno być w szkole w przyszłości. Pamiętam nawet, że doszło do ożywionej dyskusji w sprawie nauczania higieny, co jednak większość zgromadzonych uznała na przesadę - argumentując, że ludzie kończący ósmą klasę szkoły podstawowej powinni już znać podstawy higieny.

Na spotkaniach pojawiała się np. z Ewą Wipszycka - znana historyczka starożytności, zapraszana jednak głównie dlatego, że była autorką podręcznika do pierwszej klasy w Wydawnictwie Szkolnym i Pedagogicznym. Pamiętam, jak prosiła kolegów, specjalistów z różnych dziedzin, którzy znali się na czymś szczególnym – o opracowanie danego tematu w objętości znaczka pocztowego. Mówiła: „Słuchaj, taki temat jest do opracowania w podręczniku. Powiedz mi w dwóch zdaniach, co musi się tam znaleźć”. No i ci biedni koledzy, starali się streścić w dwóch zdaniach – powiedzmy – np. od niewolnictwa w Rzymie... to było koszmarnie trudne.

Nastrój był taki, że szkoła naprawdę powstanie. Nie wiem, na czym właściwie opierały się te nadzieje, bo skoro nie było ani uczniów, ani nauczycieli, ani lokalu, ani zgody na istnienie szkoły, to było to dość fantastyczne myślenie. Jednak pamiętam tamten nastrój, taki nastrój sprawczy, niesłuchanie optymistyczny i właściwie już w maju 1989 r. istniał bazowy program przedmiotów humanistycznych i przyrodniczych istniał. Tak, za mojej pamięci to po prostu istniał.

Jeżeli chcecie wiedzieć, to był program nierealny. Nauczyło mnie to na całe życie, że wszystkie programy, które się tworzy dla szkół, bez względu na to, kto je tworzy, są nierealne. Ale za to był to program bardzo ciekawy.

Też mogę z pamięci przytoczyć dyskusję na temat rosyjskich pisarzy, których – jak się okazało – nie było w naszym programie. Co robi się w takiej sytuacji, gdy ktoś wstaje i mówi: „Przecież są tu jeszcze wielkie nazwiska rosyjskiej poezji i prozy, a ich tu nie ma”? To je dopisuje się, po prostu.

HK/AT: W jaki sposób szkoła miała się wyróżniać na tle tradycyjnej edukacji i czym charakteryzowała się jej unikatowość?

JW: Uczciwie mówiąc – wszystkim. A gdy zestawimy to później z tym, czym się „Bednarska” stała, to myślę, że wszyscy mamy długie miny.... Na jednym ze spotkań – już nie tego seminarium, ale późniejszej rady pedagogicznej – padło hasło: „Rzeczpospolita Przyjaciół”. I ono oddawało dość dobrze znaczną część przemyśleń na temat tej szkoły.

„Rzeczpospolita Przyjaciół” - to tytuł dziś już mało chyba znanego tekstu napisanego prawdopodobnie pod koniec XIX w. przez jednego z pierwszych polskich socjalistów. Choć sam tekst dotyczył socjalizmu, tytuł okazał się bardzo trafny, prawda? To tym miała się odznaczać szkoła - bardzo przyjacielskimi relacjami, zarówno między dorosłymi i niedorosłymi, jak i między sobą. A to jest oczywiście jeszcze trudniejsze. Czy to był jasno zdefiniowany postulat? Powiedziałbym nie, ale zawierał treść, która jest niezdefiniowana, a mimo to przecież czytelna. Od samego początku Krystyna Starczewska była zwolenniczką takiej koncepcji szkoły, w której funkcjonują trzy stany - współpracujące ze sobą na wszystkich możliwych forach. Choć uwaga, jak się później okazało, bez rady pedagogicznej.

W tym czasie zespół intensywnie zajął się kwestiami lokalowymi. To zresztą ważny element historii naszej szkoły – pamiętamy cztery domy akademickie, w których mieściły się pierwsze cztery klasy. Było to możliwe dzięki rektorowi SGGW.

Szkołą zarządza Rada Szkoły, tak jest zawsze, jedną trzecią stanowią uczniowie, uczennice, a kolejną jedną trzecią rodzice. W obu tych przypadkach to było zerwanie z jakimś schematem, do którego przywykliśmy w Polsce od poprzednich stu lat. Niezdefiniowaną bliżej rolę będzie pełnił Sejm Szkolny, w którym – podobnie jak w Radzie – każdy ze stanów miał reprezentację po jednej trzeciej. Czyli był to taki rodzaj jakby para-rządu i trochę takiego para-sejmu. A skoro tak, to jeszcze musiał pojawić się Sąd, bo w każdej przyzwoitej instytucji istnieje trójpodział władzy. I, jak

łatwo się domyślić, w Sądzie również obowiązywał podział – jedna trzecia uczniów, jedna trzecia rodziców, jedna trzecia nauczycieli. Z takim planem wkroczyliśmy w wakacje. Ja te wakacje już spędzałem w wojsku ludowym, zatem mój kontakt z zespołem się urwał. Napisałem tylko list z jednostki na końcu świata: „Pamiętam o naszych zobowiązaniach i mam nadzieję, że pamiętacie o mnie. Z poważaniem, podchorąży Jan Wróbel”.

A oni w tym czasie intensywnie zajęli się kwestiami lokalowymi. To jest ważny element w historii naszej szkoły – pamiętamy cztery domy akademickie, w których mieściły się cztery pierwsze klasy. Było to możliwe dzięki rektorowi SGGW. Ten moment powstania szkoły może nie był aż tak efektowny, ale pokazuje pewien nastrój roku 1989 i jeszcze może kilku lat tej pokomunistycznej Polski. Po pierwsze, chcieć to móc, a po drugie - jakby wygasła na pewien czas działalność taka prawnoprzepisowa, która pozwalała realizować odważne pomysły.

Szczerze mówiąc, dziś na przykład nie wiem, czy ktokolwiek zgodziłby się na powstanie szkoły, która nie ma, która nie ma własnego lokalu, a zajęcia prowadzi w akademikach. Myślę, że wtedy nie było specjalnie zgodne to z przepisami, podobnie jak i dzisiaj. Tylko, że wtedy pies z kulawą nogą o tym nie pomyślał nawet. A dziś prawdopodobnie zanim przyjechałoby jeszcze kuratorium, przyjechałoby rodzice - zdenerwowani, którzy przecież płacą pieniądze, a dzieci nie mają sali gimnastycznej, nie mają, nie wiem, czegoś tam jeszcze. Na szczęście udało się potem ten lokal zmienić.

HK/AT: Jakie główne wartości i cele przyświecały założycielom przy tworzeniu koncepcji edukacyjnej?

JW: Ja bym nie chciał za wszystkich założycieli wypowiadać się zbyt obficie. Mogę tylko powiedzieć, że na pewno byli wszyscy demokratami. Jakoś nie jest przypadkiem, że znacząca większość tych założycieli trzymała potem z Unią Demokratyczną – taką formacją polityczną, która reprezentowała ogół polskiej inteligencji.

Wiadomo, można być inteligentem i być poza. Prawda? Czy mieć inną partię. To jasne, ale ci, którzy należeli do Unii Demokratycznej, mieli o sobie takie mniemanie, że reprezentują właściwie tę taką polską inteligencję, która się narodziła w XIX wieku i potem przez kolejne perturbacje narodowe stanowiła tę mapę drogową. Tu - tajne nauczanie, tam - jawne nauczanie. I w tym jest taki pakiet demokratyczny tolerancji, zrozumienia dla drugiego człowieka. Właściwie czegoś, co jest bardzo czytelne. To na pewno bardzo wyraźne i bardzo silne.

Ja akurat byłem troszkę z innej tradycji i jeśli o tym mówię, to tylko dlatego, że moim zdaniem pokazuje to coś dobrego o założycielach szkoły, a nie akurat o mnie. Wywodziłem się z tradycji Narodowej Demokracji. To była formacja kiedyś bardzo popularna i wpływowa, która po II wojnie światowej właściwie wygasła, bo nie zniosła fali represji, najpierw niemieckich, a potem komunistycznych. Wśród inteligencji, o której wam opowiadałem kilka minut temu, miała bardzo złą reputację, ponieważ wśród tak zwanych ND-ków, w różnych momentach ich istnienia, o czym nie musimy tutaj mówić, pojawiały się silne tendencje antysemitowskie, takie katolickie, ale w takim rozumieniu trochę wąskim, które – powiedzmy - nie jest dla inteligencji specjalnie strawne, nacjonalistyczne, z takim zapaszkim, który już nie odpowiadał, nacjonalizm, faszyzm, nazizm. I właśnie wiedząc, że z takiego środowiska się wywodzę, że taki jestem, zaprosili mnie do uczenia historii. Żebym jeszcze uczył informatyki! Ale historii? Czyli takiego formującego przedmiotu? Bo szkoła powinna być taka „wiel -...”. Jeżeli ma uczyć ona tolerancji i takiej wieloświatowości, to może nie byłoby źle, żeby w naszym środowisku nie wszyscy byli z jednego garnka.

BP: Wspomniałeś o tym, że w tym czasie, kiedy byłeś w jednostce wojskowej, tutaj na miejscu sztab ludzi zajął się organizowaniem przestrzeni szkolnej. Czy pamiętasz, kto wchodził w skład tej grupy?

JW: Doskonale pamiętam, tylko jedno nazwisko mogę przekreślić, a to byłoby niedobre.

Oczywiście Krystyna Starczewska - to jest wiadomo. Ona też miała takie skrzydła husarskie - była reprezentantką Solidarności Nauczycielskiej podczas obrad podstolika Okrągłego Stołu. Bo był stół taki główny - stół polityczny, ale miał kilka takich branżowych stolików, w tym oświatowy.

Więc ona trochę też na tym dużo zyskała, że łatwiej było występować jako pewne środowisko, a nie po prostu grupa nauczycieli, która ma program. To nie byłoby aż takie mocne.

Był Władek Puszyński, Marzena Okońska, Olga Michalewska, Andrzej Wrede.

Akurat nie najgorzej pamiętam, dlatego, że w tym środowisku naszym rozeszła się wiadomość - dzięki właśnie naszym kontaktom - że Polska Zjednoczona Partia Robotnicza będzie oddawała pewien lokal. Niestety nie chodzi o Dom Partii - ten wielki budynek, który istnieje do dziś i mieści mnóstwo biur i fundacji. Wtedy bylibyśmy milionerami, ale na to byliśmy za krótkcy. Natomiast była taka instytucja - Centrum Kształcenia Kadr Partyjnych. Mieściła się ona w budynku, który należał pro forma do oświaty. Był to kiedyś pałacyk - prawdopodobnie należący do kogoś z Bednarskiej. Po wojnie, a może nawet jeszcze przed wojną... hmm... w każdym razie, założono tam szkołę. Zresztą jedna z naszych późniejszych nauczycielek była absolwentką tej podstawówki. W latach 60. ta szkoła została wygaszona, aby w to miejsce mogła wkroczyć instytucja - Centrum Kształcenia Kadr Partyjnych. A ponieważ w 1990 roku partia właśnie się rozwiązała, to nie było już potrzeby, by takie centra miały tam działać. I doszło do pewnego typu akcji politycznej i zarazem edukacyjnej, aby Uniwersytet Warszawski przejął ten gmach do spółki z Biblioteką Pedagogiczną, która niejako podlegała wtedy, jeśli mnie pamięć nie myli, po prostu pod kuratora miasta Warszawy.

Ta biblioteka zajęła swoją część w pałacyku, tę drugą część zajął Uniwersytet, który podpisał z nami umowę - taką „na wieczną rzeczy pamiątkę”. Była to umowa bezterminowa - oparta na wzajemnym zaufaniu - wszyscy się kochamy i mniej więcej 60% tego gmachu otrzymujemy my - nasza szkoła. No i tak żeśmy się przeprowadzili.

Akurat tak się złożyło, że ja byłem wtedy w bodaj trzyosobowej delegacji, która pojechała obejrzeć budynek. Towarzyszyła nam pewna zaprzyjaźniona posłanka. Pojechaliśmy tam wtedy, gdy jeszcze tam była partia, co prawda gasnąca. A ja... byłem po prostu pod ręką. To nie było wyróżnienie. Byłem dostępny i mogłem pojechać. Na miejscu robiliśmy groźne miny - chyba niepotrzebnie, bo ten administrator, a może kierownik tego centrum, a może tylko administrator - taki z wąsami miły człowiek, wyglądał na przygaszonego. Już wiadomo było, że ta jego robota się kończy. I nie był ani bojowy, ani nie traktował nas z góry. Mówił: „No może wam się uda, może nie. To wcale już nie moja sprawa”. Ta posłanka, pamiętam, była bardzo energiczna, mówiła z przekonaniem, że to doskonały lokal - ogromny lokal, który świetnie nadaje się na szkołę. Choć, prawdę mówiąc, to nie było prawda - nie był to lokal, który świetnie nadawał się na szkołę - zdecydowanie nie. Ale ona mówiła z takim entuzjazmem, że tak świetnie nadaje się na szkołę, że tutaj po prostu będzie tak świetnie - że ten pan po prostu się z tym pogodził. Pożegnał nas słowami: „Jeszcze pamiętajcie, zjedzą was mrówki”. I rzeczywiście, muszę przyznać, że w późniejszych latach mrówki bardzo dokuczały.

BP: Czy ta przeprowadzka miała miejsce w trakcie roku szkolnego?

JW: Tak, wszystko wydarzyło się mniej więcej w połowie roku szkolnego. Bo tu chodzi o tę szczególną dynamikę roku 1989. Kiedy szedłem do wojska, w maju, 3 maja, to jeszcze w komunistycznej Polsce, do komunistycznego wojska. Na moich oczach to wojsko się jakoś tak nagle zdekomunizowało. Nadszedł 4 czerwca, odbyły się wybory. Rzeczywiście wszystko zaczęło się sypać. Anegdotycznie mogę powiedzieć, że doświadczyłem tej transformacji na własnej skórze - jak mieliśmy rzut granatem, to już granatów nam nie dali. Tych ćwiczebnych, a one nie mają żadnego materiału wybuchowego. Zatem rzucaliśmy kamieniami. I wtedy masz sytuację taką - wracam 1 września, jeszcze jesteśmy w akademikach, jeszcze istnieje ten układ postkomunistyczny, chociaż oczywiście bardzo nadwątlony - z kamieniami zamiast granatów. We wrześniu powstaje rząd, którego szefem jest Tadeusz Mazowiecki. Pierwszym szefem rządu miał być Czesław Kiszczak, czyli szef policji. To się nie powiodło. Komuniści tracili z tygodnia na tydzień. Tak doszło do powstania tego dziwnego rządu z Tadeuszem Mazowieckim.

Im słabsza stawała się tamta strona, tym bardziej nasza - z którą, jak sądzę, chyba wszyscy w tej szkole się wtedy identyfikowali - rosła w siłę. I nagle mogliśmy zacząć snuć marzenia - takie sny o potędze, że przyjmijemy jakiś budynek w Warszawie. I przyjmujemy ten budynek, a partia się

rozwiązuje, po prostu. Jest to sławny ostatni zjazd Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Podają słowa: „Sztandar wyprowadzić”. Po drugiej stronie nie było już żadnego partnera ani przeciwnika. Zaczęło się dzielenie tamtych.

HK/AT: Czy ten budynek nowy przy Bednarskiej 2/4 był tylko samym budynkiem, czy otrzymaliście jakieś wyposażenie? Jak ta szkoła wyglądała w tamtym czasie?

JW: Z tego, co pamiętam, nie były nawet typowych szkolnych ławek, były takie stoliki i krzesła. Tego było całkiem sporo, choć i tak bardzo szybko trzeba było dokupić kolejne rzeczy. I portret Włodzimierza Lenina był. Innego wyposażenia nie było. Ale właściwie co miałyby być? W różnych magazynach zalegały jeszcze komunistyczne książki - łącznie z dziełami Lenina. Sądzę, że już nawet sama partia do nich nie sięgała. W ostatnich latach swojej działalności nikt się na serio nie szkolił z ideologii komunistycznej. Nam też to było niepotrzebne i wszystko to zostało po prostu wywiezione.

BP: A żeby szkoła naprawdę mogła funkcjonować, potrzebna jest kadra nauczycielska. Pamiętasz może, jak wyglądał proces jej poszukiwania?

JW: Jeśli chodzi o to seminarium, z którego się podśmiewałem, to trzeba uczciwie powiedzieć, że odegrało ono ogromną rolę. To z seminarium wyszła znaczna część kadry – poza założycielami. Także w sumie miałem szczęście - takie dzikie szczęście, że mnie ktoś na to seminarium zaprosił w przypadkowych okolicznościach. I okazało się, że właściwie nie było żadnego problemu ze skompletowaniem kadry. Środowisko, które reprezentowali Starczewska i Paszyński, było liczne, rozgałęzione. Gdy tylko rozeszła się wieść, że powstaje szkoła inna niż wszystkie, to właściwie problem, by były wakaty od września, nie istniał, chociaż w czerwcu jeszcze szkoła nie wiedziała, że zaistnieje. Co więcej, odbyły się egzaminy wstępne - nie brałem w nich udziału, bo w tym czasie broniłem socjalistycznej ojczyzny - ale kandydatów było wielu. Trzeba było ich odsiewać, choć byli to niemal wyłącznie kandydaci ze środowiska, zgłosili się, bo ktoś im powiedział...

I myślę też – wybiegając nieco w przód - to wszystko mogło się udać tylko w tym konkretnym momencie – na przełomie lat 1989-1990. Już kilka lat później byłoby to raczej niemożliwe. Wtedy wszystko „jechało” na entuzjazmie oraz autorytecie – przede wszystkim Krystyny, ale też Włodka. A ten autorytet był duży i ludzie z zaufaniem powierzali nam swoje dzieci. Pamiętam anegdotkę. Co najmniej dwie osoby, które w pierwszym roczniku do tej szkoły startowały, miały rodziców wyraźnie po tamtej stronie - znane nazwiska ekipy stanu wojennego. No i pojawiło się pytanie, dzieci..., ale czy rodzicom będzie to na pewno dobrze? I wtedy jeden z nich, występując również w imieniu swojego mocodawcy – a był nim Jerzy Urban, rzecznik prasowy stanu wojennego, osoba szczególnie znienawidzona przez podziemną Solidarność i vice versa - przekazał taką wiadomość: „To prawda, wiem, że jesteście skrajni w opozycji, ale tej opozycji, którą szanuję”.

Nawet jeżeli to zdanie jest wymyślone, to nie szkodzi. Chodzi o to, że ono oddawało pewną taką myśl, że istnieje nie tylko taka jakby dzika opozycja, niedobra, trochę głupawa, ale też szlachetna, inteligencka, która wygrała. Chodzi mi o to, że nagle dużo ludzi kandydowało do tej szkoły, której jeszcze nie było.

HK/AT: Czy pamięta Pan jakieś ciekawe osobowości, może historie związane z kadrą nauczycielską, które przyczyniły się do powstania czy rozwoju szkoły?

JW: Tak. Sami założyciele byli ciekawymi osobowościami i to przynosiło sukces i zarazem powodowało w przyszłości konflikty. To wyjątek, ponieważ wiele szkół społecznych poprzestało na tym pierwszym etapie konfliktu.

Osobowości, które są silne, mają bardzo duży wpływ i są pożądane w szkole, ale nie zawsze są ustawne. To był trochę kłopot. Natomiast zwracam uwagę, że właściwie inni nauczyciele i nauczycielki niż tacy, niż takie z nieco toksyczną osobowością, moim zdaniem nie mogli sobie poradzić w takiej szkole, która deklarowała z początku bardzo energicznie, że jest Rzeczpospolitą Przyjaciół. Czy ja właściwie nie powinienem na uczniów krzyczeć, czy ludzi straszyć? Może tragedia? To jest bardzo sprzeczne z Rzeczpospolitą Przyjaciół. Ja właściwie powinienem być bardzo skuteczny

i w najmniejszym stopniu nieinwazyjny. Czyli mówię, przeczytajcie to na jutro, ale nie mówię przeczytajcie, a kto nie przeczyta, to dostanie pałę.

Ocen też na początku kategorycznie zakazywano. No dobrze, bez ocen można żyć. Ale jak funkcjonować bez darcia mordy na kogoś? To znajdźcie teraz nauczyciela, który jest pozbawiony takiego instrumentarium tradycyjnej szkoły i na dodatek jest miłym, spokojnym człowiekiem. Trzy tygodnie i po sprawie, tylko jego kostki ostają się w piwnicy, a uczniowie, uczennice ocierają sobie gęby serwetką.

Pamiętam, ale to mówię już teraz o mojej indywidualnej perspektywie, nie ojców założycieli - zdołałem z tego wojska przyjechać na rozpoczęcie roku, które odbyło się na Uniwersytecie Warszawskim. Przemawiał nawet rektor - Henryk Samsonowicz. Było bardzo miło. Kiedy on miał krótki, może 15-minutowy, wykład wprowadzający, to już po kilku minutach w sali zaczęły szumieć szepoty. Chociaż sam Samson, tak go nazywano, co by nie powiedzieć, był perfekcyjnym wykładowcą. Umiał przyciągać uwagę i był z tego znany. To nie było takie częste wtedy na uniwersytecie. Tak, ale słuchały go dzieci – piętnastoletnie, czasem czternastoletnie. I wtedy dla mnie, nie wiem, czy dla wszystkich - było to takie uderzające, że po wielu miesiącach tworzenia skomplikowanych, złożonych programów wychowawczo-intelektualnych, potem masz przed sobą czternastolatka z pryszczami. I to zmienia perspektywę.

Jedna rzecz, klócić się, ile powinno być Czechowa, a druga sprawić, żeby ktoś tego Czechowa przeczytał. Zwłaszcza ten, który ma 14 lat i 7 miesięcy i – szczerze mówiąc - ma w nosie Rzeczpospolitą Przyjaciół. Chciałby, żeby w szkole było miło i niech będzie miło, ale on tego Czechowa nie przeczyta. To a propos trudnych charakterów. Wydaje mi się, że one były wtedy niezbędne.

BP: Mówiłeś o tym, że Krystyna Starczewska miała dość wyraźną wizję szkolnej demokracji.

JW: Tego typu demokracja ma ogromną wartość wychowawczą, ale też pewne słabości. Choćby to, że spotkanie o 17:00 jest dla uczniów znacznie trudniejsze niż o 13:00. Tylko że wcześniej się nie da, bo muszą być obecni także wybrani rodzice – a to już nie takie proste do zorganizowania. Czyli na wejściu mamy wadę strukturalną, która nie wynika z samej idei, tylko z logistyki.

Druga sprawa to pytanie: co z tego, że istnieje szkolna demokracja, skoro równolegle istnieje rada pedagogiczna, która podejmuje decyzje w sprawach naprawdę istotnych z perspektywy piętnastolatka – zupełnie bez jego udziału?

Owszem, Sejm Szkolny mógł uchwalić np. że nie pali się w szkole. I to była jego wartość – że nie było to odgórne rozporządzenie, tylko konsensus. Ustalono, że palenie odbywa się na zewnątrz, bez donoszenia

BP: Zapewne z zaciekawieniem obserwowałeś realizację takiej koncepcji szkoły. Jak to wyglądało w pierwszych latach jej funkcjonowania?

JW: Wszystko się chyba zadecydowało w pierwszym roku. Więc ten pierwszy rocznik miał takie zawsze poczucie, że już nigdy po nim nie będzie żadnego innego. Muszę przyznać, że nie byłem takim niesłychanym entuzjastą tego projektu demokratycznego. No wolałem ten projekt, który ostatecznie przepadł. Taki projekt, dzisiaj zresztą stosowany na „Bednarskiej”, zgromadzenia ogólnego. Bardziej wierzyłem w bezpośrednią interakcję nauczycieli i uczniów niż to, że będziemy się wybierać, spotykać popołudniami i głosować w Sejmie czy w Radzie Szkoły. Ale ten projekt wyraźnie wygrał wtedy. Żeby odtworzyć tę demokrację. I on trwał wiele lat. Gorzej, lepiej. On ma ogromną wartość wychowawczą. A minus taki – spotkanie 17.00 jest dla uczniów znacznie trudniejsze niż o 13.00. A nie może być przed 17.00, bo musi być tu czworo rodziców wybranych, to nie jest takie łatwe. Zatem na dzień dobry ma to pewną wadę strukturalną, niezwiązaną z ideą.

A druga rzecz jest oczywiście taka, że co z tego, że istnieje ta szkolna demokracja, jak istnieje też rada pedagogiczna i ona w sprawach, które są zwykle dla 15-latka żywotnie ważne, podejmuje decyzję bez niego. Owszem, Sejm Szkolny może uchwalić powiedzmy, że nie pali się w szkole.

To na przykład była wartość tego Sejmu, że to nie jest rozporządzenie elekcji, tylko jakiś konsensus, który się utarł, że nie będzie donoszenia do rodziców, że ktoś pali, ale wszyscy - czy dorośli, czy niedorośli, palą na zewnątrz szkoły. To mi się wydawało bardzo dobre.

Sam nigdy nie paliłem i widok ludzi, którzy stoją w śniegu i palą papierosy, był dla mnie całkowicie w porządku. I to wspaniale, że dało się koło tego wzbudzić taką akceptację. To tylko musi być Sejm czy inna struktura wspólna. To jest bardzo dobre. Ale o kwestii takiej, ile będzie fizyki i czy ktoś z niej zda, to już nie decydujesz w ogóle. Już nie ma cię w tej sali, a przecież wcale nie jest to mniej ważne.

HK/AT: Ilu uczniów miała szkoła, jak zaczynała istnieć i działać?

JW: Śmieszność polegała na tym, że myśmy ustalili wtedy wielkość klas do 16 osób. I było to kwestionowane, że jest to jednak już sporo. Ale były takie dwie pani psycholożki, one wtedy nam tłumaczyły, że musi być przynajmniej 16 osób, bo inaczej nie ma interakcji grupy, no więc niech będzie 16. Czyli startowaliśmy z takiej sytuacji, w której było zaangażowanych 20 nauczycieli... hmm... jak nie 25? no i 64 uczniów. Nauczycielki i uczennice też były. A potem były również gigantyczne awantury o to, że ktoś zrezygnował albo wyjechał, więc można przyjąć jeszcze jedną osobę. Ale którą? W jakim trybie? Kto przyjmuje? Wychowawca klasy? To nie było wcale takie głupie. Może rada pedagogiczna? Na koniec zobaczcie, że utarło się. Ja nie wiem, kiedy to zostało wpisane do jakiegoś statutu. Utarło się metodą obyczajną, że po prostu dyrektor Starczewska przyjmowała te osoby.

I pamiętam, że za pierwszym razem, czy może za drugim, była taka mikroawantura – ktoś otworzył drzwi do klasy i zobaczył tam obcą osobę. Skąd ona się wzięła? Dlaczego nikt nie poinformował? Już nie pamiętam, kto podniósł to do Rady, który nauczyciel, a może nauczycielka - może ktoś od szwedzkiego czy geografii. Ale dlaczego nikt mi nie powiedział, że będzie nowa osoba? Dlaczego ja się nie mogłem zgodzić na to? Może nie chcę tej nowej osoby uczyć? To były bardzo poważne pytania.

A śmieję się teraz dlatego, że nawet nie pamiętam dokładnie tych etapów zmiany, ale przecież pamiętam, że zaraz będzie 18 osób w klasie. Jak ja zostałem wychowawcą, to 20. Zostałem zresztą bardzo szybko wychowawcą. Dzisiaj mamy chyba po 26 osób. A zaczynało się tak niewinnie. Zresztą, jeśli mogę powiedzieć, to w tym pytaniu o tym, czym się szkoła różniła, to 16-osobowe klasy, moim zdaniem, to już było tak odmienne od klas 30-osobowych...

HK/AT: To może jeszcze pytanie o zajęcia – bo skoro używana była sala kinowa, czy zajęcia odbywały się też poza szkołą? W jakichś terenach zielonych, bazach, szkołach sportowych?

JW: Wtedy było tak, że wszystkie zajęcia z WF-u odbywały się poza szkołą. Natomiast co do reszty przedmiotów - starano się jednak je upychać w budynku. Mówię upychać, bo z czasem już mieliśmy tyle klas 16-osobowych... Tych klas zaczęło się mnożyć. Nawet był taki brutalny epizod, że w roczniku trzecim przyjęto tylko dwie klasy do szkoły, mimo że szkoła przeżywała wtedy szczyt swojej popularności, ale to właśnie była kalkulacja zarządu szkoły, kalkulacja związana z pojemnością budynku. I ten rocznik nazywał się Fuksy – i nie bez powodu. Trzeba było mieć dużo szczęścia, żeby się dostać, bo akurat w tym roczniku było po 10 osób na miejsce.

BP: A gdzie na przykład odbywały się zajęcia sportowe? I czy chadzaliście w tamtych czasach do jakichś pobliskich bibliotek? Czy ta szkoła była od początku taka w ruchu?

JW: Wszystkie zajęcia związane ze sportem odbywały się od pewnego momentu, choć nie podam dokładnie daty, w podstawówce przy ulicy Drewnianej - kilkaset metrów od Bednarskiej. Co prawda - jak była pogoda, to grywaliśmy tam na takim asfaltowym boisku. Ciekawe, że Centrum Kształcenia Kadr Partyjnych w ogóle nie zagospodarowało terenu wokół budynku, mimo że był ogrodzony. I było tam takie asfaltowe boisko z lat mojej młodości - z dwiema bramkami i ono cały czas sobie tam trwało. Było używane, choć oczywiście nie zawsze. Zbudowane taką metodą

innych przestrzeni, innych szkół. Natomiast co do tej ruchliwości - w ogóle było wpisane jakoś w zasady szkoły, że powinniśmy właściwie ciągle być gdzieś u kogoś.

Ja myślę, że ta szkoła pokazywała w wielu aspektach, że w końcu jest taki wektor marzeń i zasad, a obok taki wektor zwykłej codzienności, i gdzieś między tymi wektorami po prostu myśmy się lokowali. Na początku tej szkoły, jak było tam 64 osób i wszyscy mieli dużo zapału oraz czasu, to właściwie uważało się, że – jak się uczy czegoś historycznego związanego z jakimś obiektem, to najlepiej do tego obiektu pójść w Warszawie. Jak się mówi o czymś ciekawym, to należy zaprosić profesora z uniwersytetu, który oczywiście będzie tym piętnastolatkom ciekawie opowiadał o sposobie budowania wierszy przez Morsztyna. To się jakoś nie przyjęło. Prawda?

BP: Czy szkoła wprowadziła jakieś alternatywne metody oceniania? Tych ocen rzeczywiście nie było...

JW: Nie pociągajcie mnie za język... Chodzi o to, że na szczęście działaliśmy właśnie w tym czasie jakby zawieszenia normalnych praw. Przez pierwsze pół roku nie było żadnych ocen, bo po prostu ocena jest taką deprawacją nauki. W końcu człowiek nie uczy się dla ocen, tylko uczy się dla swojego rozwoju.

Mój kolega z roku - historyk, były zresztą uczeń Włodzimierza Paszyńskiego - Tytus Izdebski i ja stanowiliśmy ten beton szkolny, który mówi, że oceny są informacją i nie wolno z tego rezygnować. Ale byliśmy naprawdę w znikomej mniejszości. Poza Tytusem nikogo nie pamiętam, kto by bronił tych ocen. I tak przetrwaliśmy pierwszy semestr – za to pod koniec należało wszystkim napisać oceny opisowe, bo ktoś - jak mi się wydaje teraz - spontanicznie zaproponował, że skoro nie mamy ocen, a jednak ludzie potrzebują tej informacji, to niech to będzie informacja pełna. Przecież nie było tyle komputerów, trzeba było pisać ręcznie ponad 60 recenzji, które były spinane w jakiś taki magiczny sposób i potem kserowane. I uczniowie, uczennice dostawali to ksero z różnymi zapiskami. A potem przyszedł maj i okazało się, że szkoła się kończy wydaniem świadectwa, co zaskoczyło nas trochę. No i wyobraźcie sobie, że na świadectwach muszą być oceny i wszystko się zmieniło, i są po dziś dzień.

Ja nawet myślę, że przeżyliśmy taki okres w szkole wyraźnego nacisku na stawianie oceny, mimo że od początku jest to sprzeczne z założeniami i z ideami tej szkoły. Jak to bywa - czasem ludzie robią, bo robią, a nie dlatego, że zadają sobie bardzo dużo pytań i tu akurat powiem, że dzisiaj jest już trochę inaczej - uważam, że jest lepiej, niż było w najgorszym okresie. To znaczy, że wielu nauczycieli, stawiając oceny, nie przywiązuje do nich aż tak wielkiej wagi lub tłumaczy, że ważniejsze jest to, co się napisało o tych ocenach. W każdym razie był ten taki moment przejścia z wolności i marzeń do zwykłego świadectwa.

A więc a propos alternatywnego oceniania... Dziecko, chcąc nie chcąc, chce mieć ocenę. Nawet jeśli dostaje trójkę, to chce się dowiedzieć, jak ma mieć tę piątkę z geografii. Trzeba mu to napisać, więc jeśli już mówimy o alternatywnym systemie oceniania, to - uczciwie mówiąc, z mojej perspektywy toczy się od samego początku na „Bednarskiej” nieustanna walka Goga z Magogiem – boga ocen liczbowych z bogiem ocen opisowych, z tym ideałem bezpośredniej relacji ucznia i nauczyciela, a w zależności od tego, kto kim jest, no to ma większą przewagę znaczenia oceny albo większą przewagę znaczenia informacji. Chyba tak zostanie już po prostu.

HK/AT: Wiemy już, jak były ocenieni uczniowie, uczennice. A jak wyglądało ocenianie pracy kadry nauczycielskiej? Czy w ogóle prowadzono takie działania?

JW: A, to bardzo ciekawe. Tu rozpoczyna się największa porażka. Czekaj, ja to pamiętam. Na pewno jest tak, że to nie jest kompatybilne. Nauczyciel był w pierwszych latach „Bednarskiej” postawiony w sytuacji - „Maszeruj albo giń”. Na dobre i na złe. To znaczy, rób właściwie, jak chcesz i nieomal co chcesz.

Wtedy dodajmy, jednak nikomu nie mieściło się w głowie, że nauczyciel mógłby uwodzić dziewczynki albo dowcipnie mówić o penisach chłopców. To nie jest epoka, w której w tej bardzo wolnościowej szkole przychodziłoby komuś do głowy, że takie rzeczy mogą się zdarzać. Więc też nikt tego

nie zapisywał. Jeszcze może w stosunkowo małej wtedy społeczności jest o wiele trudniej o takie zachowania - jak jest stu uczniów i uczennic - i znamy jedną trzecią ich rodziców. Bo tak właśnie było w pierwszych latach, że te środowiska zadziwiająco się przenikały. To nie jest wtedy łatwo o takie zachowania dosyć dziwaczne. Zatem nauczyciel otrzymywał taki komunikat pozytywno-negatywny. Rób, co uważasz. Jak święty Franciszek - „Kochaj i rób, co chcesz”. Ale w zamian za to niespecjalnie był oceniany. Bo na czym miałyby polegać ocena, skoro przecież właściwie nie oceniamy uczniów? Co najwyżej wystawiamy im ocenę, a to jest zupełnie coś innego. Możemy dać opinię uczniowi, co powinien robić, czego nie robić, co mu idzie dobrze, a co mu idzie kiepsko. Ale przecież to nie jest ocena człowieka, tylko taka sobie opinia, która ma mu pomóc w życiu.

I pamiętam, że w pewnym momencie, dość świeżym, Krystyna Starczewska pod wpływem nauczycieli zaczęła chodzić na niektóre lekcje. U mnie była raz. Powiedziała, że za dużo gadam. Co zresztą pozostaje prawdą. I to było tyle. To znaczy, to i tak nie było mało, bo to było złamanie pewnego kodu kulturowego, że każdy sobie rzepkę skrobie.

Mówię o tym trochę z przekąsem, a trochę z nostalgią. „Bednarska” oparta była na takiej zasadzie mistrza. Po prostu mistrza się nie bardzo ewaluuje. Myślę, to słowo ewaluować, to w ogóle wtedy było sztuczne. Mistrza się po prostu docenia albo się cierpi, jak się trafiło na mistrza, z którym jest nie po drodze - po prostu cierpi. Oczywiście mętnie przypominam sobie szczegóły, ale zdarzało się w jakimś momencie, że jakaś grupa rodziców czy grupa uczniów, uczennic miała pretensje do nauczyciela, że jest jakiś tam. Ale to jednak odbywało się na takiej zasadzie, że to jest jakiś problem, który trzeba omówić, a nie, że ewaluować nauczyciela - asystenta mu podaj, żeby zapisał jego dobre i złe strony. Tego się wszystkiego w ten sposób nie robiło. To się pojawiło później. Mnie się wydaje, słuchajcie, wcale się nie chwale, że pierwszą ankietę oceniającą nauczycieli przez uczniów, to chyba ja rozpisałem.

Teraz te ewaluacje uczniowsko-nauczycielskie wydają mi się rozsądniejsze. W tym znaczeniu, że ja mogę z tej ewaluacji dużo wyczytać o sobie, jak mnie postrzegają uczniowie. Nie muszę się tym bardzo przejąć. Jeśli uczniowie mówią, że chaotycznie prowadzę lekcje, to być może chodzi o to, że mówię za szybko. Albo - jak mówią, że za szybko mówię, to naprawdę chodzi im o to, co jest niepokładane, tylko sami nie potrafią tego dobrze nazwać. Nauczyciel, jak ma pewne doświadczenie, to wyczyta z tych opinii sporo wartościowych rzeczy. Ale - o ile się nie mylę, to te pierwsze ewaluacje były typu - czy nauczyciel dobrze uczy swojego przedmiotu, czy coś w tym stylu. Ale skąd to uczeń ma wiedzieć, na litość boską? Ale to pojawiło się bardzo późno.

BP: Jak „Bednarska” od początku radziła sobie z różnorodnością wśród młodzieży? Bo przecież od samego początku byli wśród nas ludzie z niepełnosprawnościami albo ze specjalnymi potrzebami edukacyjnymi. I domyślam się, że w tamtych czasach to musiała być dopiero przestrzeń do odkrycia.

JW: Tak i nie. Jak się wydaje, to wymagałoby dłuższego wywodu, na który nie mamy czasu. Ale może w skrócie też powiem, o co mi chodzi, po prostu to nie będzie takie pełne. Kultura w ogóle nasza, w tym kultura szkolna dzisiejsza, jest w jednym aspekcie - wydaje mi się - bardzo niepodobna do tej kultury, którą pamiętam z pierwszych lat dziewięćdziesiątych. Mianowicie, że dzisiaj jest taka kultura poukładania, zapisania, ewaluacji i nawet kontroli.

Dlaczego nie mogę powiedzieć do dziewczynki: „Kochanie, ślicznie wyglądasz”? Dlatego, że na stronie siedemdziesiątej ósmej kodeksu etycznego działania nauczyciela jest w punkcie czwartym, podpunkcie szóstym wyrażenie - „kochanie” i ono jest skreślone. Trochę przesadzam, to nie jest siedemdziesiąta ósma strona, góra dwudziesta. Natomiast, jeżeli przejmie się to do lat dziewięćdziesiątych - początków, to zakładało się, że istnieje taka tożsamość, etyka inteligenta pracującego w szkole, która nie dopuszcza do tego typu sytuacji, w której na przykład uczeń czy uczennica czują się jakoś zaambarasowani tym, co nauczyciel o nich powiedział. Czyli nigdy się nie zdarzyło w latach dziewięćdziesiątych wypowiedzieć jakkolwiek uwagę na temat stroju uczennicy, tym bardziej ucznia też, bo było takie przekonanie, że tego typu wypowiedzi są bardzo inwazyjne. Nigdy tego nie zapisaliśmy.

I w ten sposób podchodzę do tego podstawowego pytania. W tamtej kulturze - tych lat dziewięć-

dziesiątych - nawet myślę, że byłoby traktowane jako coś bezdusznego, szkolnego w takim tradycyjnym, potępianym przez nas systemie, gdybyśmy pisali duże regulaminy jak się zachować. Bo to znaczy, że co? Jak nie ma zapisanego czegoś, to już wolno to zrobić? Albo wiecie, jak jest coś zapisane, to ja to zrobię tak chytrze, że zmieściło się to w przepisach prawa, ale w istocie rzeczy wiemy, o co chodzi. A wtedy właśnie to - wiemy o co chodzi - było decydujące. Coś jest złe z punktu wycucia etycznego czy moralnego.

Nawet pamiętam takie nawracające rady pedagogiczne - co dwa, trzy lata, kiedy ktoś, najczęściej z młodszych nauczycieli, nagle się budził, że on nie wie po prostu jak ma być i żeby wreszcie zapisać to - jak ma być. Powracał taki pomysł, żeby zrobić taki profil absolwenta. Po prostu jakie ma mieć cechy ktoś, kto kończy naszą szkołę. Muszę powiedzieć, że na ogół Krystyna Starczewska uciwała to bardzo szybko i miała zwolenników tego ucinania, więc to się nie rozwijało. Jak w latach 50-tych młodzieńca Krystyna była szponem ZMP, stalinowskiej organizacji młodzieżowej - to tam właśnie tworzone takie dokumenty z profilem idealnego członka - było chyba 10 punktów i w dziesiątym punkcie było napisane, że ten absolwent ma być dziarski. To w ogóle nie jest nic złego, jak dziecko jest dziarskie, ale rzeczywiście musimy zapisywać, że ktoś ma być dziarski, a nie po prostu towarzyszyć mu w tej drodze rozwoju. Moim zdaniem wyraźnie tak to formułowano. Ja nie mówię o praktyce, bo w praktyce bywa to różnie, ale w teorii trzeba po prostu towarzyszyć mu w rozwoju.

A zatem, jeżeli osoba jest z niepełnosprawnością, jak to powiedziałaś, to w tamtej atmosferze ona nie jest z niepełnosprawnością, tylko jest jedną z 64, a potem z 200 dzieci, które mają indywidualne potrzeby. Ja nie powiem, że było to wystarczające, że to było lepsze, tylko że tak wtedy to formułowano, że nie tyle szukano - „Oho! Przyjechało dziecko o kulach chodzące, to teraz szukamy odpowiedniego przepisu na to, że ma nie mieć lekcji na piętrze”. Podaję to jako bardzo prosty przykład. Tylko uważamy, że to dziecko akurat ma jakieś potrzeby, których nie rozpoznajemy, sprowadzamy kogoś, kto się na tym zna, ten ktoś nam o tym opowiada, ale to, że ono nie będzie miało lekcji na piętrze, raczej wynika z naszego oczywistego odruchu. Tam było akurat bardzo mało pokoi na piętrze - ze dwa pokoiki, ale nawet gdyby, to nie będzie miało miejsca.

Tak samo w stosunku do wszystkiego innego. Jednak dziś myślę jest inaczej, jest większa taka profesjonalizacja tej pomocy, a wtedy było na dobre i na złe, miały się tam plusy i minusy. Być może na przykład to dziecko powinno być raz w tygodniu na pięterku na lekcji i się zmierzyć z tym, że czasem trzeba na piętrze. Może psycholog przyszedłby i nam właśnie takie zalecenie wydał, z dobrego serca sami byśmy na to nie wpadli. Więc nie mówię, że tamto jest wzorem do naśladowania, ale że tak to pamiętam. Indywidualizacja w ogóle potrzeb dziecka to było coś na kształt świętego Antoniego, figury mówiącej.

HK/AT: Jak wyglądała wtedy praca zespołowa i realizacja projektów edukacyjnych?

JW: Nie chcę demitologizować „Bednarskiej”, bo miałem ogromnie dużo dla niej szacunku i nostalgii. Po dziś dzień tak zostało. Może poza tymi ocenami, co było śmieszne, ale nie ma chyba większego rozdziału między zamiarami a rzeczywistością niż to, o czym przed chwilą Pani powiedziała. Bo na dzień dobry wymyślono taki projekt, że przedmioty są uczone razem. Mają wspólną nazwę. Przedmiot humanistyczny jako humanistyka po prostu. I być może nawet powinno być tak, że ta ocena, opinia jest zbiorowa. Czyli ja właściwie powinienem wchodzić czasem na lekcje tak zwanego polskiego, bo akurat mam wtedy wolne, a ktoś inny mógłby pouczyć za mnie jakiegoś tematu historycznego, bo właściwie, jak głosi nam myśl ze znanego serialu na Netflixie „All Is Connected”. Skończyła się to tym, że to były jednak wyjątki. Już w pierwszym roku rozpadło się to dosyć, chociaż pamiętam, że przez wiele lat „Bednarskiej” instytucją ważną było spotkanie się nauczycieli przedmiotów humanistycznych - jakby na humanach.

Nasi koledzy z biologii, chemii, geografii mieli nie humanę, tylko coś innego. I tam rzeczywiście ustalano sporo: kolejność tematów, trochę wielkość, co się opowie, ale już na przykład nie tego, żeby były wspólne sprawdziany, dajmy na to - ze wszystkich przedmiotów naraz. To wydawało mi się takie logicznie - związane z tym, żeby uczyć razem. Jednak to się rozpadło, a na koniec jednak zwyciężyły przedmioty i nasze ocenianie przedmiotowe w PSO. Dobrze pamiętam - przedmiotowy system oceniania?

BP: Początkowo „System”, potem „Zasady”, to się też zmieniało... A jaką rolę w tamtych czasach odgrywały podręczniki? Czy już korzystaliście z pomocy tego typu, czy produkowaliście własne materiały?

JW: Z początku było tak, że produkcja własnych materiałów była po prostu wtedy bardzo trudna, czasochłonna. Nie są to czasy komputera i drukarki. Więc to słabo wychodziło, ale było sporo odbitek ksero, które było może nie największym urządzeniem, tylko po prostu bytem samodzielnym w szkole. Jego psucie się było przedmiotem licznych awantur. Jego koszty, bo okazało się, że jak wszyscy kserują, to to jest też kosztowne. W ogóle mnóstwo anegdot związanych z ksero na pewno udałoby się tutaj opowiedzieć. Ale z podręczników wtedy korzystano niezbyt zachłannie.

W późniejszych latach - no, nie tak dużo późniejszych, pojawił się projekt, żeby powstał taki podręcznik do przedmiotu humanistycznego, dzięki PWNowi. Uważam, że to był bardzo ciekawy podręcznik, łączył polski, historii, historię sztuki i elementy filozofii. Nie wiadomo, komu to szkodziło. Poza tym, jak go dzisiaj czasem czytam, to myślę sobie, czy naprawdę wtedy uczniowie byli tacy bystrzy, czy myśmy coś źle projektowali? Niczego młodym ludziom nie ujmując.

HK/AT: A więc czy innowacje pedagogiczne zostały wprowadzone w szkole od momentu jej powstania? Jeżeli tak – to jakie?

BP: Ja myślę, że jednak zasadniczą i główną innowacją, którą ta szkoła wprowadzała, to było, nie zawsze się to udawało - wciąganie po prostu dzieci do nauki. Wiem, że to pytanie przecież nie o tym jest, ale korzystam z okazji... Mnie się jednak wydaje, że nie da się odróżnić tej specyfiki szkoły, czyli nastawienia na współpracę z tą młodzieżą, a nie tylko, żeby je zadawać - od tego, co nazywamy metodami dydaktycznymi. Jeżeli ważniejsze jest to, żeby ta młodzież coś zrozumiała podczas wycieńczających lekcji, żeby była jej częścią i żeby to budziło też pewne emocje - no to masz innowację pedagogiczną. W polskim języku edukacyjnym innowacja pedagogiczna to jest coś z grubej rury. Wszystkie zajęcia odbywają się na dworze albo mieszamy klasy - to jest już innowacja pedagogiczna.

A ja jestem jakoś przekonany, dość konserwatywnie, że tą innowacją jest to, że nauczyciel wchodzi z innym nastawieniem na lekcje: jedyne, co się liczy, no to liczy się to, że ten uczeń czy uczennica, coś łapią z tej lekcji, co jest dla nich wartością. No i że warto było przyjść do szkoły.

Nie jest to wartością wytłumaczenie komuś momentu pędu w fizyce, bo w ostateczności on może w domu się nauczyć się tego. Jednak to, czego nie może się nauczyć, to tej chwili zainteresowania tym momentem pędu. Jakaś kulka skądś leci... dlaczego ma to mnie zainteresować? A jeżeli udaje nam się zainteresować, to właśnie to jest innowacja pedagogiczna, że ja temu się bardzo poświęcę. Czy to jest jasne?

BP: Tak, tak. Takie pytanie bardziej ode mnie, bo jeśli chodzi o te innowacje - tak jak teraz na przykład, pomiędzy nauczycielem a uczniem, jest taka relacja, że możemy mówić po imieniu. Czy wtedy też tak było? Czy wtedy trzeba było się zwracać rzeczywiście „Pan”, „Pani”? Bo to też dużo wprowadza i zmienia.

JW: Tak off the record, rozmawiacie z freakiem, prawda? Ja nie jestem mainstreamowym nauczycielem „Bednarskiej”, ponieważ byłem tam freakiem. I tak mi pozostało, i taki chcę umrzeć. Oby się udało. Otóż, wyrażna większość tych naszych nauczycielek i nawet nauczycieli, bo też było trochę więcej mężczyzn niż normalnie wtedy w szkole... W moim liceum przez wszystkie cztery lata w sumie uczyło mnie dwóch nauczycieli. Jeden wf-u, drugi matematyki. Czyli proporcja była 500 tysięcy do jednego, nie więcej. Otóż, tam było takie idealistyczne trochę przekonanie - żeby tak nikogo nie urazić... skoro Rzeczpospolita Przyjaciół to jednak - „Dzień dobry, jestem Janek”... Ja zapytany na pierwszych dwóch lekcjach, które prowadziłem przez pierwsze dwie klasy, które uczyłem, to też byłem pytany: „Jak się mamy do pana zwracać?”. Ja na to że elegancko i zgodnie z regułami cywilizacji judeo-chrześcijańskiej. Sobie potem sprawdzili w Internecie, co to oznacza i mówili do mnie - „proszę pana”, chociaż ja byłem bardzo młodym nauczycielem i też wyglądałem bardzo młodo. Ale jakoś taki dystans tresera wobec tygrysów powodował, że nikt do mnie nie mówił po imieniu przez te dwa lata. A w trzecim roku, jak dostałem wychowawstwo, już uczyłem

tak bardziej, to ten kolejny rocznik, który przyszedł, zaczął do mnie mówić - „panie profesorze”.

Choć naprawdę nikt tego nie wymagał, ja też nie, bo jednak szczerze mówiąc - no właściwie niby dlaczego. Jest taka tradycja polskiej szkoły, że kto uczy, ten jest profesorem, ale ponieważ profesorów zrobiło się dużo, a mój tata był prawdziwym profesorem, to ja tak nie bardzo lgnąłem do tego typu określenia. Ale widać jakaś potrzeba tej wajchy w drugą stronę powodowała, że stałem się jeszcze bardziej oddalony od ideałów bliskości z młodzieżą niż przeciętna. Ale tak w zasadzie było, że myślę, że dwie trzecie nauczycieli, nauczycielek była „na ty”.

HK/AT: Czy były może jakieś momenty kryzysowe i jak sobie z nimi radzono?

JW: O które chcesz zapytać?

HK/AT: O wszystkie.

JW: Chodzi o to, że w ogóle momenty kryzysowe są wpisane we współpracę ludzi ambitnych. Wtedy jeszcze takich nieustannych często, bardzo często mających taki też jakiś rodowód związany z Solidarnością podziemną, czyli takie jeszcze poczucie troszkę, że nikt mi nie będzie sypał soli na ogon, albo mówił mi, jakie mam oceny stawiać, albo czy je mam stawiać. Takich kryzysów było bardzo dużo, ale one wszystkie były czasowe i kończyły się na ogół bardzo dobrze.

Pierwszy kryzysik, który może wspominał trochę mniej udatnie, to był właśnie taki, że nasz pierwszy dyrektor, zapomniana dzisiaj trochę postać - Andrzej Wrede, z wykształcenia chemik, próbujący wtedy sił w szkole. On się jakoś poczuł, i słusznie, trochę wyalienowany, bo właśnie wszystkie decyzje zapadały na takiej nieformalnej grupie, w której on po prostu nie był. Był dyrektorem, ale tak się wyrobiło, bez żadnego ustalenia, że po prostu dyrektor zarządza różnymi sprawami - kiedy zaczynają się lekcje i czy są doniczki podlane. Natomiast takie węzłowe sprawy wychowawcze, to wiadomo było, że jak zdecydowali o tym Krystyna z Włodzimierzem Paszyńskim, to one są zdecydowane właściwie. On się jakoś z tym poczuł źle. Stwierdził, że może nie jest dobrze, że osoba, która jest dyrektorem, nie bardzo jest dyrektorem, a osoba, która jest dyrektorką, to nią nie jest. Wszyscy pokiwali głowami, odbyło się głosowanie i w ten oto sposób mieliśmy dyrektorkę Krystynę Starczewską. Nie pamiętam teraz, szczerze mówiąc, dlaczego Krystyna nie stała się pierwszą dyrektorką. Musiało być wtedy coś takiego, być może, kiedy ja byłem w wojsku, co zadecydowało, że wydawało się logicznym, że był ktoś inny, no ale to nie potrwało bardzo długo.

Natomiast drugi kryzys był gorszy, bo jednak tam się już pojawiły takie elementy emocji osobistych, że jedna z naszych założycielek, Marzena Okońska, osoba, do której mam ogromny sentyment i spotykaliśmy się aż do jej śmierci, no to w końcu odeszła i założyła inną szkołę. Natura tego konfliktu, jeżeli chodzi o warstwę widoczną, była taka, że chyba Marzenie nie odpowiadało to, że wiele rzeczy jest takich niedopowiedzianych na tej bednarskiej mapie, że trzeba trochę zgadywać, co należy robić i to stawia ludzi w takiej sytuacji, że jedni jakby działają po omacku, a drudzy wiedzą, jak należało zrobić. Ona, mimo że była w takiej core-grupie zakładającej tę szkołę i była zaangażowaną działaczką solidarnościowego podziemia, była z Włodkiem Paszyńskim i Krystyną bardzo związana tymi wieloma więzami, to ona się jakoś tak poczuła, jakby właśnie to ona była tą osobą, która nagle musi się domyślać. O dziwo, ten konflikt przeszedł w sferę, której nie umiem oceniać - emocji międzyludzkich. Przypominam sobie ze trzy przynajmniej niekończące się spotkania ze zmiennym gronem - z rodzicami, którzy bardzo cenili zarówno Marzenę, jak i Krystynę. I próbowali działać jako taki rodzaj trochę mediatora. I taki był to sposób.

Dodam tylko, że w szkołach społecznych lat dziewięćdziesiątych ten moment takiego jakby rozłamu, to był nieomal moment dopiero tych prawdziwych narodzin każdej szkoły i wiele z nich tego nie przeżyło. Rozpadły się na dwie czy trzy, i potem nie było już żadnej.

Jak mówiłem na samym początku, myślę, że to jest związane z tym, że szkoła przyciągała osobowości, no a w pewnym momencie takiej stabilizacji, rutyny trzeba było zapłacić cenę. Dużo osobowości naraz w szkole, która ma być stabilna i stawiać oceny, to właściwie nie jest już takie proste. Pamiętam, jak się awanturowałem w drugim roku szkoły, że wprowadzono przerwy. Nie o to chodzi, że są przerwy między lekcjami, bo to jest akurat zdrowe, ale że określiliśmy długość lekcji

na czterdzieści pięć minut. A mnie taka długość nie odpowiadała. Ale musiałem podporządkować się. Tak! Nie tylko, że ja kończyłem lekcję o dwunastej, ale że i poprzednią lekcję musiałem skończyć o jedenastej pięć. Dlaczego? Nic mi się nie stało, prawda, ale właśnie - to był taki poziom przekonania różnych osób pracujących w szkole, że świat trochę się kręci wokół nich, a nie wokół instytucji.

BP: Teraz pytanie, które też jest dla mnie ważne, więc jestem bardzo ciekaw, co powiesz, a szczególnie ze względu na obecność naszych licealistek. Kiedy patrzysz wstecz, tyle lat wstecz, przecież ta nasza „Bednarska” już ma swoje piękne lata, jak myślisz, co udało się zachować z tamtych lat, co do dzisiaj stanowi ważną część tożsamości społeczności szkolnej, a co utraciliśmy?

JW: Trudne to jest pytanie, bo nie utraciliśmy niczego cennego. Dlatego, że czasy się po prostu zmieniają i wiele rzeczy bardzo cennych - nie byłoby dzisiaj tak cennych. Obsesyjnie wracam do tego wątku rodziców. W trzecim, może w czwartym roku działalności szkoły, byłem na zebraniu z rodzicami i Krystyną Starzewską, jakiś był powód tego zebrania, że ja byłem. I tam byłem zagubiony, ponieważ rodzice występowali z takimi na przykład wypowiedziami - moje dziecko poszło we wtorek do szkoły, sezon grypowy i nie odbyła się nawet połowa lekcji, czy ja powinienem płacić połowę chesnego, no - za ten dzień przynajmniej. Ja mówię, skąd się wzięli ci ludzie. Później - akurat ci rodzice właśnie okazali się, że byli bardzo twórczy i pomocni w szkole. W tym akurat momencie już przyszli z takim komunikatem, który dla mnie wówczas brzmiał jak z kosmosu. Do szkoły się oddaje dziecko i grzecznie się czeka, aż wróci ze szkoły. Jak można przyjść do szkoły i stawiać jakieś warunki tej szkole? Warunki są określone na wejściu po prostu. Oddajesz je pewnej społeczności i do widzenia. A nie, że jeszcze przychodzisz i tak narzekasz, że ktoś uczy za wolno, że ktoś uczy za szybko albo że ktoś nie przyszedł, albo się spóźnia. Rozumiesz? Chodzi mi o to, że gdybyśmy byli wciąż taką szkołą jak w 1992 roku, czyli uważalibyśmy wszystkie roszczenia możliwe rodzicielskie za absurdalne i nie do rozpatrzenia, to coś byśmy sobie dzisiaj źle zrobili. Prawda? Bo wydaje się naturalniejszą postawą, że jednak wysłuchujemy rodziców, którzy mają jakiegoś typu warunki do szkoły i normalnie mówimy - grzecznie, że nie chcemy ich spełnić po prostu, ponieważ to nie jest dla nas dobra propozycja.

Więc ja nie sądzę, żebyśmy zgubili coś, co przetrwałoby 30 czy 35 lat i dziś właśnie by się na pewno sprawdziło. Bo ta szkoła, przy wszystkich wadach, które zawsze chętnie wymieniam, to wydaje mi się, że prawie zawsze zachowywała taką normalność w tym znaczeniu, że dostosowywała się do zmian. Mimo wszystkich tych aberracyjnych gorsetów urzędniczych, które gdzieś od początku lat 2000 znowu wróciły i zmieniają się ekipy u władzy, a rosące roszczenia kuratorium są rzeczywiście coraz bardziej kłopotliwe, to jednak my potrafimy robić w ciągu roku szkolnego jakąś istotną zmianę - jak uczymy, kogo uczymy, ile uczymy. Co jest niemożliwe w normalnej szkole. W normalnej szkole w końcu sierpnia przyjmuje się taki poważny dokument, jak świat wygląda i on tak wygląda do następnego sierpnia. Tego nie można już zmienić. My to jednak robimy. Choć przecież mógłby być szalony rodzic, który by przyszedł i powiedział, że w sierpniu było wyraźnie powiedziane, że dzieci będą miały pięcioosobowe grupy francuskiego. A oto doszło do połączenia grup! Widocznie był powód, żebyśmy je połączyli i zmieniliśmy to na szybko.

Wydaje mi się, że jeżeli coś zgubiliśmy, to dlatego, że było to albo dysfunkcyjne, albo zbyt piękne, żeby mogło działać w praktyce.

BP: Czas na dwa pytania finalizujące. Jedno dłuższe, drugie krótsze. Czy widzisz przestrzeń dla szkół niepublicznych dzisiaj we współczesnych czasach?

JW: To jest dłuższe?

BP: To jest to dłuższe, tak. Bo te szkoły niepubliczne też powstawały w bardzo konkretnym momencie historii i wtedy miały wyjątkowy kontekst. A czy dzisiaj czy on jest wciąż aktualny?

JW: Powiem tak - w dziewięćdziesiątym roku, gdybyś mnie zapytał, to ja po prostu byłem absolutnym zwolennikiem usprawiedliwienia całego szkolnictwa, przynajmniej znaczącej jego części.

Zawsze jest taki argument po prostu, że są rodzice, którzy w ogóle nie wysyłają dzieci do szkół albo nie dopilnowują tego i może lepiej, żeby taka szkoła była właśnie tradycyjnie ustawiona itd. Może tak, ale że wyraża większość. Uważałem, że nadchodzą czasy solidarności. W tym się - głęboko się pomyliłem. W czasach solidarności nie ma powodu istnienia szkół państwowych. Są szkoły publiczne. Byłoby wspaniale, gdyby one nie kosztowały i żeby one były społeczne. Wydawało mi się, że to jest kierunek rozwoju społeczeństwa.

Tak się nie stało. Jak się stało? Tak się stało, że znacząca większość ludzi aktywnych społecznie, nastawiła się na samorozwój, wydawanie własnych pieniędzy na samorozwój swój i swojej rodziny, jako coś wystarczającego. Ja tego nigdy nie atakowałem, bo wiecie, alternatywa jest taka, że ludzie nic nie robią, są nieambitni, nie mają tych pieniędzy, które mieliby na siebie wydać, ale to nie tworzy wcale przestrzeni dobra. Tylko - dla szkół społecznych, to okazało się największym zagrożeniem. To jest jakiś cud, że taka szkoła jak „Bednarska” jako tako sobie z tym poradziła.

Dlaczego? Szkoła, jaką tworzyliśmy, była oparta na wszystkich możliwych zasadach, poza zasadą, że to jest inwestycja w dziecko. To nie jest inwestycja w dziecko, to jest po prostu danie dziecku szansy na samorozwój, dzięki temu, że znajduje ciekawych ludzi. Po dziś dzień myślę, że to jest istotne przesłanie „Bednarskiej”, nawet jakbyśmy w praktyce znaleźli na pewno wiele od tego odstępstw, że największą wartością szkoły jest nie to, że dobrze uczy rosyjskiego czy historii, tylko kto uczy. To tworzy tę przestrzeń i ona jest nieewaluowana. Można ewaluować, czy moi uczniowie mają dobre wyniki z matury z historii, czy nie. Ja mam na to bardzo mały wpływ. Liczy się przede wszystkim ich pracowitość, inteligencja, ale to jest przynajmniej ewaluowalne. W jednym roku mają cztery, a w drugim pięć. Można coś porównać i mędrzeć na ten temat. Natomiast nie jest ewaluowalne - czy spotkanie się z ciekawym historykiem spowodowało, że człowiek potem został fizykiem, co prawda, ale uważa, że czytanie książek jest dobre. To jest nieewaluowalne.

Wiele szkół społecznych i prywatnych uległo temu wrażeniu, że to jest inwestycja i z rodzicami podpisuje pewnego rodzaju kontrakt bądź to jest kontrakt taki niewypowiedziany wprost, bądź nawet wręcz podpisany przez obie strony na piśmie. Taki kontrakt - że jedni inwestują w swoje dziecko, nie w szkołę, duże pieniądze, a w zamian za to szkoła powoduje, że to dziecko jest bardziej wykształcone.

Moim zdaniem tego typu szkoła nie jest szkołą społeczną i nawet jako szkoła publiczna czy prywatna jest nonsensem. Sensem jest czasami... Są dzieci o tak ustawionym - nie obrażcie się, to nie musi być o was - ale o tak ustawionym umyśle prosto, że muszą mieć zadania do wykonania i potem ocenę z tych zadań i wtedy dobrze działają, a na koniec szkoły świetnie zdają matematykę i francuski. Można powiedzieć, dobrze dla nich, ale w ogóle szkoła nie jest od tego, żeby to właśnie zrobiła. A jest od tego, żeby człowiek w takim głupim wieku między 14 a 18 rokiem życia miał wymagających, ale starających się go zrozumieć życzliwych nauczycieli.

Więc nie, to jest nieewaluowalne. Dopiero nas ewaluują absolwenci mający 40 lat. Oni wtedy bardzo dobrze widzą, co myśmy robili złego, a co myśmy robili złego mimo dobrej woli, ale też mogą dostrzec, co nam się w miarę udało. To dopiero wtedy.

To jest wielki problem dla szkolnictwa niepublicznego, że ono ulega - ale jak ma nie ulegać - takiej kulturze tego samorozwoju, sukcesu, inwestycji, mierzalnych sukcesów. A to jest zupełnie sprzeczne z tym, po co istnieje szkoła, a już na pewno taka jak „Bednarska”.

BP: To finalizując, ponieważ to jest rok jubileuszowy „Bednarskiej” - 35 lat. Czego byś jej życzył na kolejnych chociażby dziesięć - zakładając, że niepubliczne szkoły utrzymają się w Polsce?

JW: Na koniec powinienem coś miłego powiedzieć. Nie otwierając puszek Pandory, bo to ma być krótkie pytanie?

Akurat naszej szkoły problemem jest środowiskowość. W momentach trudnych, w momentach kryzysów ta środowiskowość jest nieoceniona. Dużo ludzi się zna, myśli bardzo podobnie, odczuwa podobnie. Pamiętam, jak pojechałem na moją pierwszą wycieczkę z moją klasą drugoklasistów,

to byliśmy w jakimś schronisku i ta pani, taka góralka zresztą, jakaś tam znana, mówi: „Tak jakbyś Pan taką inną młodzież tutaj przywiózł...” A ja przecież nikogo innego nie przywiozłem. Przywiozłem tych, których miałem. Ale oni z domów wynieśli pewnie... To jeszcze były czasy, kiedy ludzie często zabierali dzieci w góry. Więc jakoś te dzieci z dobrych rodzin warszawskich, zabierane w góry przez rodziców uważających, że każde dziecko musi wejść na Babią Górę, bo rzeczywiście miały ogólnie rzecz biorąc ileś takich odruchów, które nie były już odruchami tak powszechnymi. I to bardzo ładnie działało. Więc środowiskowość nasza w wielu momentach jest taka jakby fajniejsza.

Jest gorsza w momentach dużych napięć takich politycznych czy tożsamościowych, bo ja wtedy odczuwam na „Bednarskiej” taki rodzaj zaciskania się wokół swojego sztandaru, traktowania ludzi, którzy nie kochają tego sztandaru jako jednak dewiantów lub ludzi, którzy źle zaczynają. A jak już nie daj Boże mają osobny sztandar, to już w ogóle jest herezja. Czego normalnie nie ma. To się zdarza tylko w takich momentach jakiegoś wzmożenia.

Wydaje mi się, jeżeli bym miał czegoś życzyć „Bednarskiej”, to takiej autoanalizy tych ostatnich lat. Żebyśmy nie poszli w taką stronę... żeby podać przykład - wszyscy tutaj w szkole, w ogromnej większości uważają, że Straż Graniczna dokonuje faszystowskich podzbrodni na granicy Polski. 50% Polaków jest wdzięczna Straży Granicznej - mówię o wydarzeniach sprzed paru lat - jest wdzięczna Straży Granicznej za to, że broni Polskę przed nielegalnymi migrantami.

Czy rzeczywiście nie możemy dopuścić do tego, że na „Bednarskiej”, nawet jeżeli nie mamy nikogo z tej połowy Polaków, Polek, to ten dyskurs dopuszczamy jako równorzędny? Przecież nie musimy przyjmować czyjegoś punktu widzenia, a nawet możemy go pięknie odrzucić. A nie musimy od razu albo odrzucać tej osoby, co się zdarzało na „Bednarskiej”, albo po prostu wyrzucać z pamięci, że istnieje taka Polska. Gdzieś za górami, za lasami są ludzie, którzy uważają nie to, co my. Ale właściwie kogo oni obchodzą, skoro nas tam nie ma, gdzie oni mieszkają w jakichś lepiankach i jakichś grotach, bo ludzie tacy normalni, przyzwoici mieszkają pod Warszawą w domku i uważają, że Straż Graniczna to faszysci.

Więc to są takie momenty, że myślę, że mógłbym pożyczyć „Bednarskiej” takiej autoanalizy, czy zrobiliśmy to tak, jak uważamy, że należy robić i jak bardzo nam zależy na tym, żeby ludzie byli wychowani w kulturze, wielu kultur i jednak wielu wrażliwości, a nie naszej jednej. Zobaczcie, że potrafimy mieć takie epizody, że przyjmujemy osoby z bardzo różnych kultur, właściwie nieprawicowych, bo to jest zła kultura, z muzułmańskich i jakichś takich, i oczekujemy jakoś tak odruchowo, że te osoby są nam wdzięczne. Oto przychodzi dziewczyna w chuście i nikt jej przecież tej chusty nie wypomina, więc ona powinna mówić: „Ta „Bednarska”, kochana szkoła, która pozwala mi chodzić w chuście”. Dlaczego? Ilu jest nastolatków na świecie, którzy czują wdzięczność za to, że ktoś jest dla nich życzliwy? Mówię wam 3% - reszta, łącznie z ludźmi chodzącymi w chuście czy w jakimś tatuażu przedziwnym, nie odczuwa żadnej wdzięczności, że coś tam..., bo jest nabuzowana, bo jesteście nastolatkami i ludzie są wtedy narwani i nabuzowani.

Więc to bym poddał analizie i życzyłbym nam, żebyśmy byli bardziej otwarci na... Skoro jesteśmy otwarci na Czeczenów, Turków, Wietnamczyków i osoby zmieniające płć, to jeszcze może byśmy byli otwarci na takich, co to myślą, że Straż Graniczna spełniła swój obowiązek.

Tak czułem, że to nie jest dobre zakończenie.

BP: Dziękujemy Ci bardzo, Janku, za rozmowę.

Redakcja: Joanna Kucharczyk

Oprawa graficzna: Michał Bisiorek